



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr - 12 stron

Warszawa, 4 listopada 1951 r.

Nr 44 (84) Rok II

NUMERZE m. in.: Tadeusz Bernaś — Moje doświadczenia; Howard Fast — Rewolucja Październikowa; Stanisław Brodzki — Wahadło brytyjskie; Melania Kierczyńska — Nie wolno wulgaryzować; Henryk Bereza — Człowieka wyzwolił socjalizm; Marian Podkowiński — Krzewiciele rewizjonizmu; Piotr Pawlenko — Opowiadanie nieogłoszone drukiem; Michał Łukonin — Droga do po-
ju (fragmenty poematu); Jan Koprowski — Portret Thaelmanna; Tadeusz Kubiak — W republice pionierów im. Ernesta Thaelmanna; Marceli Ranicki — Niemiecka droga przez mękę; Wawrzyniec Żuławski — Koncerty muzyki romantycznej; Jan Lenica — Radziecki plakat polityczny w dobie pokoju.

Echa salw „Aurory”



G. N. Postnikow Gips 1950
Stalin — twórca szczęścia narodowego

Historicy burżuazyjni nazwali wiek XIX — wiekiem pary i elektryczności. Tym majestatycznym terminem naukowym — jak kłopotliwie z nieprzezroczystego szkła — wykryli epokę zwierzęcego, rozwoju kapitalizmu, lata nieudzielnego zysku klasy robotniczej, olbrzymiej strąki przewalającej się nad stopą i rosnącą szybko falę nadciągającej rewolucji. Zachłystywali gwałtownym skokiem cywilizacji: para i elektryczność! Epoka naukowego postępu naukowego dzieła od oświeconego kaganikiem absolutyzmu osiemnastowiecznego. Burżuazyjni uczeni stali się nie pamiętać, że w mieszkaniach robotniczych, do których elektryczność nie dotarła w ogóle, a pa-
była tylko wynikiem procesu go-
wania nędznej strawy, że w tych
szkaniach rosła i dojrzewała re-
lucja.

Wiek XIX przekroczył grubo swój kalendarzowy, dożył roku 1917. Ostatnich lat swego życia miał jeszcze człowieka unoszącego swobodnie w powietrzu, usły-
zapowiedź nadchodzącej wojny
niebierającą bez pomocy drutu fa-
eteru. Skonał październikowy
czoru 1917 roku, kiedy szablami
bersberskich pałaców wstrząsnął
salw „Aurory”.

Ktoś mógłby powiedzieć, że rewolucyjnego wywołania zwiastowały nową epokę narodzin komunizmu. W epokę burżuazyjna zatykała Festsztoski wata pragnęła rodzącą się przyszłość historyczną wepchnąć do zysku tego worka. Powstające państwo proletariatu, pierwsze na świecie, dynamizował pstry pierścien interwencji. Federacji marciańskiej puchy legionistów i francuskich karabinów mor-
wali także i polską rewolucję.
d akcja międzynarodowa usilo-
re na pogwałcić prawa fizyki: chia-
salw „Aurory” pozbawił: echa.
nie praw fizycznych, przyrodni-
ym — ani praw rozwoju histo-
cznego — nie można przełamać.
nia salw „Aurory” odezwały się
Węgrzech, w Niemczech i Polsce.
Razemnie krwią pożaru w tych kra-
nie likwidowało jeszcze mate-
nie wybuchowego, jakim jest pro-
iat. Stosunkowo beztrudni bło-
ian syty burżuazji został gwał-
nie przerwały. Odzywające się
salw „Aurory” miały coraz
ściej i dotkliwiej spinać ostrogą
dzynarodową burżuazję.

Odgłos strzałów armatnich czer-
nego krążownika dobiegł Hiszpa-
Nad Ebro zapachniało procho-
nym dymem rewolucyjnego pa-
nika. Burżuazja zastosowała
nie wynaleziony niedawno środek,
zaklamowane antidotum prze-
konanizmowi: faszyzm.
konceptu, która uśmierdła zre-
lucjonizowane Niemcy, pograży-
w letarg Hiszpanię. Przyszły-

wając do swego munduru dyktator-
skie szamerunki nie spodziewał się
Franco, że piętnaście lat później w
strajkach barcelońskich usłyszy po-
nownie echa zgłębku robotników
szturmujących Pałac Zimowy.

System, który miał wstrzymać his-
torię, wybuchł szybko, jak ropieją-
cy wrzód rozlał się na całą prawie
Europę. Faszyzm szykował się do
ostatniej rozgrywki z socjalizmem.
Pod Stalingradem znowu odezwały
się echa salwy rewolucji i następnie
powtarzały się coraz częściej w sa-
lutach witających wolne stolice Pol-
ski, Rumunii, Węgier, Bułgarii i
Czechosłowacji.

Ogień pożaru wzniesionego trzy-
dzieści lat temu w Petersburgu prze-
rzucił się nagle do Azji. Pół miliar-
da Chińczyków powstało do walki o
wolność. Płomień objął Vietnam,
lizałszy Indie przerzucił się nie-
oczekiwanie na Bliski Wschód, do
Iranu. Nafciarze angielscy ładując
się pośpiesznie na wojenne statki,
które miały ich wywieźć z niego-
scinnego kraju, czuli na swych plecach
zar październikowego pożaru.

Nie powstrzymali go na ulicach Te-
heranu salwy policyjne do robotni-
ków, przedarli się na kontynent
afrykański ogarniając Egipt i sąsied-
nie kraje arabskie. Wypróbowany
środek burżuazji — żandarmka ku-
la — działa już tylko jak nafta irań-
ska: nie gasi pożaru, przeciwnie
podsyca go, powoduje gwałtowne
rozszerzanie rewolucyjnego płomienia.

Echa salw „Aurory” słyszymy w
potyczkach partyzantów malajskich,
na Korei, w krajach zachodniej
Europie, słyszymy je tam, gdzie to-
czy się walka o wolność, o prawo
do człowieczego życia.

*

Przyjaźń polsko-radziecka, braterstwo broni, nie narodziły się nad Oką i Mierzeją. Przyjaźń, miłość do
narodu radzieckiego, rosła w ciągu
frzydzustu czterech lat walki o
wolność i sprawiedliwy ustrój. Uczu-
cia te krzepiły polskich komunistów
wypatrujących przez szybkie wię-
zienną skrawka nieba, które nie-
bienszczało i nad Moskwą w dni
święta majowego. Radosnych słów
o Kraju Rad słuchali hutnicy piotr-
kowskiej „Hortensji” podczas cięż-
kich, głodnych i mroźnych dni straj-
ku okupacyjnego w roku 1932. Słu-
chali tych słów ludzie, którzy mieli
nie przeżyć nawet siedemnastu dni
strajkowych. Gruzlicą drobnyimi
strumykami krwi wyciągała z chu-
dych ciał życie, rozdęte od dmucha-
nia szkła płuca, uwiarty boleśnie
wyschłe żebra. Ci ludzie walczyli o
prawo do ludzkiego życia już nie
dla siebie, lecz dla dzieci głodują-
cych w norach hutniczych mieszkań.
W te dni myśli ich wybiegały poza
kordon pilnowany przez dwójkarzy,
bez paszportu przedzierały się do
Kraju Rad, gdzie budowano pierw-

sze socjalistyczne państwo. Resztki
krwi oddaliby dla zwycięstwa ludzi
radzieckich, ponieważ wiedzieli, że
zwycięstwo Komsomolska będzie i
ich zwycięstwem.

Wieczorem o szóstej, kiedy zaczy-
nało ciemnieć i cienki szklisty lód
pokrywał kałuże na fabrycznym
podwórku, wychodzili z huty straj-
kujący robotnicy. Ustawiali się na
rampie kolejowej do apelu wieczor-
nego. Nierówno śpiewana, ponura
pieśń, ułożona na przedce, budziła z
sytych drzemki mieszczuchów piotr-
kowskich:

„W tym heblerskim lochu
trupy będą z nas.
Miał umierać po trochu
lepiej umrzeć raz.

Towarzysze, wytrwajmy,
siłą wziąć się nie dajmy,
plując krwią,
plując czarną krwią”.

Obok portierki przy karabinach
maszynowych krzątała się niespokoj-
nie policja. Jej kule odparły już na-
tarcie na bramy huty zdesperowa-
nych rodzin robotniczych.

Tymczasem młodzież próbowała
śpiewać ułożoną własnymi siłami
piosenkę — wiersz. Melodii nie po-
trafiono znaleźć, mocował się więc
z wiatrem nieudolny recitativ:

„...Bo wiemy przecież dobrze,
Jak gnębił nas nasz wróg.
Sanacja wraz z faszyzmem
Szykują dla nas grób.
Do walki, towarzysze!
Niech zniknie z czoła cień,
By klasie robotniczej
Wywalczyć jasny dzień!...”

Na dworcu kolejowym gwizdała
lokomotywa. Widać już było jej
żółte latarnie. Cienki blask światła
lizał posiwiałe od szronu szyny.
Nadchodził międzynarodowy pociąg
Hutnicy przeciskali się na krawędź
rampy i podnosząc zacisnięte pięści
intonowali:

„Wykłęty powstań ludu ziemi...”

Niech ten międzynarodowy eks-
press zawiezie do Moskwy pozdro-
wienie od polskich hutników. Niech
przekaze zobowiązanie: będziemy
walczyć do ostatka o zwycięstwo
proletariatu!

Z wagonów błyszczących niklem
cudzoziemskich napisów wyglądali
przestraszeni pasażerowie. Szeroko
rozwartymi oczami patrzyli na pu-
stą, martwą hutę i zbity tłum ob-
dartych hutników śpiewających
„Międzynarodówkę”. Zdawało się
im, że w śpiewie guszonym przez
ostry wiatr słyszą dalekie echa salw
„Aurory”.

Tylko maszynista pociągu rozu-
miał słowa pieśni. Nad parowozem
ukazywał się piórpusz pary i roz-
legał się bucący głos gwizdka. Ob-
sługa parowozu salutowała walczą-
cą hutę.

*

Pewien emigracyjny pisarz po-
służył się nie pozbawioną szczer-
ści anegdotą. Otóż, podczas ostatniej
wojny przebywał on jako korespon-
dent na froncie zachodnim. Towar-
zyszył mu amerykański oficer łą-
cznikowy, który w czasie tej pod-
róży posługiwał się skomplikowa-
nymi spiworami, maszynkami do
gotowania, przenośnymi aparatami
radiowymi i temu podobnym
doskonałym ekwipunkiem turysty.
Ale kiedy zbliżyli się do frontu,
oficer kategorycznie zażądał powro-
tu. Nie chciał z tym dobytkiem
narażać się zaślanką kulom. Na
kontynent europejski wysłano go
dla obrony wolności koncernu Du
Ponta w eksploatowaniu krajów,
które już niedługo miały ulec do-
brodziejstwu marshallizacji. Już
w najbliższej przyszłości oficer ten
miał wybielać gestapowców w an-
glo-amerykańskich komisjach de-
nazyfikacyjnych. Szlachetnym im-
puls, który determinował na
froncie jego postawę żołnierską, był
zwitek banknotów dolarowych z
ostatniego zoidu.

Ludzie radziecy pod żołnierskim
mundurem nieśli w swych sercach
ideę wolności w pełnym tego słowa
znaczeniu. Wolności od faszyzmu
i nędzy bezrobocia. To byli ludzie
budujący nowe, szczęśliwe życie.

Salwy armatnie „Aurory”, które
obalili carat, scaliły rozerwana Pol-
skę, zwiastowały dla niej nadejście
dnia prawdziwej wolności, dnia wy-
pełnionego rytmem pokojowej, so-
cjalistycznej pracy. Padali od kul
faszystów robotnicy polscy i ludzie
radziecy walcząc o taką właśnie
wolność. Tadeusz Konwicki

BOGUSŁAW KOGUT

DROGI BRATERSTWA

I

Przyszła,
by myślom odjąć pamięć trwogi
i bliznom boleść zapiekłą,
by wskresić ziemię poznaną ogniem
i sen przywrócić powiekom.

By strzec uśmiechu uśpionego dziecka,
które — przed nocą — nie wie o wojnie,
by w moje słowa tchnąć miłość serdeczną —
przyszła
ta wielka przyjaźń ludzi wolnych.

II

Nocą
oczy zachodzą mrokiem,
po twarzy — jak ból — pełnie zmęczenie,
nocą
tłumione, ciężkie kroki
nikną w bramie zdumionej sieni.

Ślizga się cień — długi i cichy,
za nim noc zamyka zaułek,
grzęźnie w mroku granat drelichów;
towarzysze roznoszą bibulę.

Fachnie farba
w tajnej drukarni,
carscy żandarmi wężą spisek.
Znów
jednego z szeregu wydarli —
znów
dziś jeden z towarzyszy
nie przyszedł.

W suterenie
lód zatkał szyby,
głodem w trzewiach zawiał się opór.
Szły
kolumny więźniów
na Sybir
drogą, z której nie było odwrotu.

W tajdze, śnieg do łokci sięgał,
mróz po twarzy ciął cierpki
i ostry.
Tu witali zesłańca z Zagłębia
towarzysze z robotniczej Moskwy.

III

Był rok dziewięćset siedemnasty —
rok zmartwychpowstania narodów,
salwa Aurory trzęsła miastem,
gniew rozsadał ulice

od spodu.

Jeszcze Kiereński ma admirałów,
watahy slug — białą gwardię —
w miastach chleba brak
i opalu

Interwencja wdziera się zewsząd,
prą ślepe hordy Denikina. —

Trwała
w bojach gwardia najlepszych,
śnieg
poległych w polu zasypywał...

Długo kraj w lunach się palił,
kontrewolucja rwała szyki,
w sztabie Partii

był Lenin i Stalin
i z Polski — towarzysz Dzierżyński.

IV

U nas nie było Października,
u nas — znowu Partia w podziemiu;
targał ból murami Rawicza
wieloletnim przymusem milczenia.

Pamiętam:
Okno zatkałe wiechciem,
mokry sufit wisiał nad izbą —
nocą

śpiące na ziemi dzieci
budził szpicel idący z rewizją.

Pleśnią kłamstw obrosły wyzysk
nie pozwolił dzieciństwu dorosć;
z nędzą

przemoc wtargnęła do izby.
I mnie przemoc uczyła historii.

Moskwo!
Moskwo — wieżo nadziei,

trudno inne imię ci nadać —
gdyśmy walcząc ciebie widzieli,
łatwiej nam było nie upadać.

V

Petem
przyszły te lata strachu,
który dzieciom nie dawał zasnąć —
pod okapy skulonych dachów
śmierć spadała nocą — jak jastrząb.

Trudno nam było patrzeć w przyszłość,
w dni — co idąc — niosły zagładę.

Każdej nocy byliśmy myślą
z tymi,
co trwali pod Stalingradem.

Tam, w okopach, w załomach ulic,
w rozpadlinach porytej ziemi,
w morzu płomienia — nawale kul —
dekonowało się ocalenie.

VI

Pod Lenino jesień błotnista
mokrym brzegiem — w linie okopów
naprzeciw strażom — łzawa wyszła,
mgłą o świcie zlepiła oczy.

Najeżony kłami zasieków
front
zygzakiem do ziemi przypadł,
krwią nabiegłe policzki piekły.
Bitwa.

Pluły ogniem wrogów pozycje,
nawał salw strzelił poranek,
we mgle
grzęzły kanonad bliski —
w spoczonej dłoni pęczniał granat.

W gąszczu ognia,
nim tchu zabraknie,
mocniej zewrzeć pięści w ataku!

Padły
faszystów linie ostatnie,
uszli na zachód.

Potem cisza zawisła nad ziemią.
Leżał w polu z przekłutym sercem
żołnierz z gwiazdą pięcioramienną
i drugi
z orłem na furazercie.

VII

W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym
ostatni moździerz w Berlinie
ucichł,
jak taran,
szła klasowym frontem
historia naszej rewolucji.

Wróg z ostępów podchodził blisko,
strzałem strudzoną noc kaleczył —
łęgła się zdrada — knuła spiski,
zniecka
nóż wbiwała w plecy.

Pierwszym,
co w masy Partię nieśli
niezastąpiony świecił wzór,
wiedzą doświadczonych trzydziestoletnich
uczył natarcia Krótki Kurs.

VIII

Dziś
w moim kraju wzeszła radość,
za którą wczoraj żołnierz marł —
i słońca dotyk
krwawe ślady
i krople płaczu z ruin starł.

Świt roznieca uśmiech na twarzach
i radość zęga zmianę o zmroku,
gdy domy — wstając spod rąk murarzy
mrużą jasne powieki okien.

Dziś
w moim kraju pieśń przyjaźni
kombajnem wjeżdża w spółdzielcze pola
i chłopskie oczy patrzą rażniej
spod zoranego troską czoła.

Michał Łukonin należy do pokolenia poetów radzieckich, które do-
rzewało podczas minionej wojny, a
pełnym głosem przemówiło w latach
powojennego budownictwa komuni-
stycznego i walki o pokój.

Stalingradczyk, urodzony w 1918
roku, zadebiutował w r. 1940, po po-
wrocie z kampanii fińskiej. Lata
1941 — 1945 przeżył na froncie, brał
udział w odrobie Armii Radzieckiej
na wschód, później w Bitwie Sta-
lingradzkiej i w bohaterskim mar-
szu do serca faszystowskich Nie-
miec. Wojenną i bezpośrednio powo-
jenną lirykę Łukonina cechuje zde-
cydowana polemika z pseudoroman-
tyczną postawą kombatanek, z fał-
szywym tragizmem à la Remarque,
występującym w części współczes-
nej literatury. Podmiot liryczny
utworów Łukonina — to młody żoł-
nierz radziecki, który, broniąc oj-
czyzny przed najeźdźcą, przeżył
wszystkie okropności wojny, stracił
wielu bliskich ludzi, zabijał wrogów,
ale nie stał się oschły, umie nadal
żyć i kochać. W wierszu „Wróć do
ciebie” poeta konkluduje: „Lepiej,
bym z pustym rękawem przyszedł
niż z pustą duszą”. Temat zdemobi-
lizowanego żołnierza, który umie

znaleźć sobie miejsce w pokojowym
życiu, wraca w szeregu utworów
Łukonina. Niektóre z nich odegrały
ważną rolę mobilizującą i zyskały
sobie w ZSRR wielką popularność.

Po wojnie powstają dwa wielkie
poematy, albo może ściślej — powie-
ści poetyckie Łukonina: „Dzień ro-
boczy” (1948) i „Droga do pokoju”
(1950). „Dzień roboczy”, poświęcony
odbudowie Stalingradzkiej Fabryki
Traktorów, został odznaczony Na-
groda Stalingowska.
„Droga do pokoju”, której frag-
menty publikujemy, to wielki epicki
obraz Wojny Ojczyźnianej. Niestety,
wybrane fragmenty nie mogą dać
pełnego pojęcia o tak zasadniczych
elementach powieści poetyckiej, jak
fabuła oraz psychologia bohaterów.
Natomiast we fragmentach są wd-
ocne takie walory, jak duże napię-
cie dramatyczne poszczególnych epi-
zodów, żarliwa ideowość, celność
poetycka formułowań politycznych
(Rozdział „Drugi front”), wreszcie
wysoka temperatura właściwego
kontynuatorom Majakowskiego sto-
pu liryki ze śmiałą, zamaszystą re-
toryką, humorem i ściśle już epicką
tkanką łączną.

W. W.

Rozdział pierwszy

TRUDNY PORANEK

Pierwszy raz wtedy świt ogłądałem z niechęcią,
pragnąc, żeby się odwrócił... Cóż z tego, że chciałem?
Noc odbiegła i ponad bagien krawędzią
przeciekło słońce, chłodne i małe.
Dowódca oddziału jak stał w pelerynie,
tak stoi. A deszcz wciąż tak samo się sączy.
Niewiele zostało nas

po tej walce i jeszcze zglinie.
Musimy się przebić, do swoich dołączyć.
Ilu nas?

Pięciu. Naboi? Dwanaście.

Ilu nas? Tego jeszcze nie wiemy,
żaden z nas nie ma prawa żywym zwać się,
póki ten świt nie poderwie nas z ziemi.
Nie, to nie deszcz...

Odmienili się rodzaj niepogód.
Co było deszczem, staje się śnieżnym puchem.

Pierwszy śnieg. Pierwszy śnieg czterdziestego pierwszego roku!
Pierwszy wystrzał słysząc tuż za wybuchem.
— Idą! — mówi dowódca.

Zrobiło się straszno.
— Najważniejsze, to zerwać się.
Sprawdzić broń.

Mieście w pamięci:
atakujemy wręcz, skoro tylko zaczną.
Niewola jest groźniejsza i straszliwsza od śmierci!

— No, Sierioża! — spoglądam w jego oczy jak niebo,
jasne włosy ma zmłote od pilotki zrzucającej.
— Przebijemy się? — Tak!

Ojczyzna nas czeka! —

Śnieg sypie się, szybki i biały.
Poprzez zadymkę las prześwituje z daleka.
Za bagnem wieś, jakieś sto metrów przed nami.
Wicher mierzwi tam słomę na strzechach.
Tam są Niemcy. I w lesie.

Już biega pomiędzy drzewami.
Równo mlasnęły miny. Ciepło po ziemi żelazem.
Zatrzępotwały trawy, cekaem zaterkotał.

— Naprzód!... — Biegne i w biegu dostrzegam wszystko razem,
las i pole, i niebo, i każdą rzecz wokół.
Obok: — Oeh! Dostałem w serce! Zegnajcie!... —
Ale wstał, blegnie znów. Krzyczę wściekły:
— Czego łiesz?

— Omyliłem się, bracia!... —
Dał krok naprzód i padł, ledwie rzekł to.
Oto wieś. Naprzód! Bij! Niemcy z drogi!
W samą twarz — strzał!

W konopie, ścieżką,
ogrodami, podwórzem, za stogi.
Życie miga

to orłem, to reszka.
— Dawaj granat, Sierioża!

— Już nie mam... —
I magazyn już pusty. Zarośla...
— Halt! —

zagrzycał do ucha Niemiec.

Koniec... Wtem
ognikiem szukając na oślep
pod nogami moimi cekaem zatrzeszczał.
Ta-ta-ta!

— Czego stoisz? Toć swoi!

Biegnij w las... —

Ta-ta-ta.

Kosi jeszcze.

Co to znaczy?

W miejscu, gdzie stoje,

leży chłopak przy cekaem. — Dzięk!

Ocaliłeś nas... Chodźmy!... —

W tej chwili

Chłopak bezwładnie wisi Sierioży na ręku.

— Jak się nazywasz? — Tarakanow... Wasilij. —

Las ciemnieje. Przechodzimy gęsiego, prędko
i w milczeniu. Las też milczy, ostrożny,
czasem tylko smagnie po twarzy wtkną gietką.
— No, przebiliśmy się! — słyszę głos Sierioży.

Świt przejrzyście ustawiał drzewa,
każdą gałąź wyodrębniał, liśćmi zdobił.
Wasia upadł.

— Sierioża, bierz go z lewej!

Co się stało, Wasia, mów, co tobie?

— Idźcie — powiada nam nieśmiało Wasia —
mnie ranili. Całą noc leżałem tam, przy cekaem.
— Poniesiemy cię.

Czegoś milczał tyle czasu?

— Nie ma sensu... —

zostawcie mnie tu, na ziemi... —

Ach, szczęśliwcy, wy dojdziecie może... —

Charków... —

Ulica Rybna 24... —

Tamara... —

Powiedzieć... —

Niesiemy go. Idę w nogę za Sieriożą.

Wasia rzuca się w gorące i bredzi.

MICHAŁ ŁUKONIN



Rozdział siódmy

SPOTKANIE

Idziemy orłowskimi polami na przelaj.
Miasto Orzeł obeszliśmy nocą na prawo.
Nad nieskoszonym polem kreseczka świtu błysnęła.
Czarne plaki nad nami krążą z łopotem i wrzawą.
Drogi, pokryte żywnym czarnoziemem!
Nad spalonym elewatorem dym jeszcze wieje.
Chleb czarny, przydymiony w drodze żujemy,
idąc po ziemi swojej własnej jak złodzieje.

— Dzisiaj siódmy! Listopad! —

W ten poranek
rewolucję świętowaliśmy w uniesieniu!
Ze sztandarów uskrzydłonych, rozważanych
spokojnie, mądrze

na ojczyznę patrzył Lenin.

— A pamiętasz — mówię dalej jak urzeczony,

— Szliśmy w jednej z wielkich kolumn, bruk tętnił

Stalin patrzył, myśmy szli przez Plac Czerwony,
widział nas. Może twarz zapamiętał...
Czy rozumiesz? On liczył na nas może,
a my tutaj, gdzieś na uboczu, zamiast w ogniu! —

Spuścił nisko głowę mój Sierioża:
— Ciężko, bracie, maszerować w stronę wschodnią... —
Idziemy naprzód orłowskimi polami.
Zadzwieczał kałużami ranek niebieski.
Po drodze zmarzniętej na kamień
buty nasze postukują głucho, jak deski.
Wiatr niesie jakiś papier,
jak gdyby blachą szczekał.

— Chwytaj, przyda nam się do machory!
— Ciekawe, co to? — Papier szeleści w rękach.

„Dziennik Orłowski”.

Po rosyjsku! Wydany wczoraj!

— No, co tam? Co? — Przez chwilę nie bije serce.

I jak piorun koło twarzy, w oczy wpada,

czarną czcionką, niby prochem: „Niemcy... —

siódmego... na Placu Czerwonym... defilada... —

— Ot, szczekają, żeby naszych z mańki zażyć... —

— Chodź, Sierioża. — Poczekaj, trzeba rozważyć. —

Siedliśmy i siedzimy. Ani słowa.

— Chodź?! — A dokąd? — męczy myśl uparta.

Ruszamy jednak i nogami stukamy znowu,

żeby cisza nie podchodziła nam do gardła.

Noc bezgłośnie zamyka swe wrota,

gwiazda Polarna wstaje skosem, niesie chłód,

podszepcując sercu trwogę swym migotem;

pytasz: — Dokąd? — Odpowiada ci: — Na wschód! —

Dziewięć listopada zastał nas w polu.

Skuliśmy się w snopkach, pod kopiec.

Słońce jesienne słabo lśni. Rana boli.

Każdy oddech czuć wilgotną pszenicą.

Chykiem podkłada się gorzka senność.

W lasy byśmy już weszli z ochotą!

Gdzieś nad nami melodią niezmienną

brzęczy śmigło samotnego samolotu.

— Wszystko jedno, byleśmy wreszcie doszli —

szeptecze Sierioża.

— Dotrzemy do swojej jednostki!

— Gniewie z pasją „Dziennik Orłowski”... —

Samolot nieustannie w pobliżu dzwonił.

Nagle z zenitówk serią bucha.

— Co to? Patrz, samolot wśród szrapneli.

— To nasz! Nasz!

— Jak warczy, posłuchaj. —

Niemcy biją, ale za późno rozpoczęli.

Odrzucamy swoje snopy.

— Nie, leci dalej, tylko chmurą się okrył... —

Ledwie go widać, już znika, taki chyży... —

Ale chmura rozkołysała się w spadochron.

— Jeszcze gotów spaść w ręce faszystom! —

Ale spadochron znów się w chmurę rozpościera.

Patrz, ptactwo rozpięta się bystro.

— Toż to ptaki! — powiadam — a to dopiero!... —

Niebo znowu puste. Jaka szkoda.

Ani krzyku, ani łoskotu. Milczą pelotki.*)

Tylko ptaki w dół lecą.

Zaraz usiądą.

— Stój, Sierioża! Spójrz, to ulotki! —

Opadają. — Patrz, tam leci jedna! —

Wyskakujemy spod kopicy i na drogę.

Serce we mnie się szamocze na różne tempa,

zachłystując się niepojętą jakąś trwogą.

Wirujące kartki chcą lecieć dalej,

chwytam jedną, jak białego ptaka.

Rzutek oka rozpoznaje twarz kochaną:

— Stalin? — Stalin!

— Stalin! —

Znikamy w krzakach.

Czytam powoli, z ust mych zbiega

wieść ceniona od życia drożej.

— Moskwa.

Stalin na Mauzoleum.

— Mowa na defiladzie — powtarza za mną Sierioża.

Siódmego.

— Mowa na defiladzie — powtarza za mną Sierioża.

*) działka przeciwlotnicza.

DROGA

— „Towarzysze czerwonoarmiści...” — Czytaj uważnie!
Stalin do nas się zwraca! — Głos mu zadrgał.
— „...wrog się strasznie przeliczył...” — Strasznie!
— „...możemy i powinniśmy zwyciężyć...” — Prawda!
Słyszysz, możemy! — Siadaj! —

Za ramię mnie ujął.
— Słuchaj — powiadam — to życie debija się do nas!
Nie taki diabeł straszny, jak go malują! —
Nasze twarze zetknęły się, rozpalone.
— Alosza, to znaczy, że armia blisko!
Stalin nas czeka!

Musimy wnet być na miejscu!
— Tak jest — powiadam — patrz, co tu stoi w przypisku:
„Wydawnictwo „Prawda Orłowska” w Jelicu”.
„Prawda Orłowska”!

A więc to prawda, Sierioża! —

krzyczę i drę „Dziennik Orłowski”, to śmiecie.

Tam nas czekają!

Prosto nas wiedz, o drogo!

Droga do prawdy — to wódrówka najlepsza na świecie.

Rozdział ósmy

PRZEŁOM

Minał rok.

Myśląc o matce i siostrze

idę do Stalingradu.

Trwoga za serce chwyta.

— Co z nimi?

— Przestań się gryźć — mówi Sierioża.

— Żebym choć wiedział, czy ocalali, czy też... —

Maszerujemy dniem i nocą przez Zawolże.

Dobiega huk.

Tumany kurzu z drogi wzbite.

Chmury noc pokryła, płomień na horyzoncie.

— Stalingrad! —

Patrzmy z jakiegoś strychu.

Tak znaleźliśmy się na stalingradzkim froncie.

Pierwszy pluton na brzeg wyskoczył cicho.

— Spać! —

rozkazał dowódca batalionu.

Kwaterujemy w przepłinionym i ciemnym domu,

— Chłopcy, ciszej, tu są dzieci ze Stalingradu.

— Dzieci? —

— Na podłodze, cała gromada... —

Eksploduje pół nieba czerwienią posępnym migotem,

grzmot wybuchów luezy z lewa i z prawa.

— Wstawać!

— Nie ma dla nas drogi z powrotem!

Stalingradzie! Miasto moje! —

Przeprawa...

... Osiem lat mając

dowiedziałem się,

że mieszkam w Rosji.

Byłem pastuchem.

Przepędzałem o świcie krowy

koło gminy, gdzie rząd ludzi trawę kosili.

Szepnął mi to nadbiegający wiatr surowy.

Ptaki pod okapem stroziły piórka

i gwiazd wszędzie rozsypanych się tak duże,

aż lekłem się biegać po kałużach,

by, poiknąwszy się,

w niebo nie dać nurka.

A słyszałem, że nieba jest okrutny kawał!

Ze oprócz Rosji są na świecie i inne ziemie.

Zagranicy barwny obraz przede mną wstawał

w postaci bulki francuskiej albo

maszyny z Niemiec.

Często zgorączkowany, skrzywdzony, leżałem nie śpiąc

i cichutko zaciskałem ciężkie powieki,

żeby ujrzeć choć na chwilę, pół we śnie,

obec kraje,

cudzoziemskie rzeki.

Ale w sadzie rdzewiały wroble helmy,

z tornistra zdobycznego uzdę się szyło.

Ujrzałem jeńca. Nie zachwylił mnie zupełnie.

Łeb miał ryży, żeby żółte i nadgniłe.

Każdy sen jakoś niejasno wzywał, groził.

Rozwahałem:

ale gdybym był chłopcem

cudzoziemskim,

nie zobaczyłbym Rosji,

matki swojej bym nie znał,

byłbym obcy...

Nie wychodziłbym o świtanie kosić paszy,

nie doganiałbym turkoczących wozów na drodze,

nie zobaczyłbym nigdy jałówki naszej,

ani, pod jesień, fal ołowianych na Woldze.

W takiej chwili zapominałem nieraz,

że przekorne i kłóliwe są moje siostry,

że jałówka krnąbrna do stogu wciąż się doblera,

a pole, kiedy bieć po nim,

kolce wysuwa ostre.

Wszystko przebaczałem!

Siedząc na strzesze

spoglądałem, jak opuszcza się zachód różowy,

AD O P O K O J U

Przełożył ROBERT STILLER

w marcu dudni

wezbranych wód hukiem.

Równocześnieśmy się uczyli
ojczyzny i władania bronią w okopach.
Faszyzm poznawaliśmy w krótkiej chwili,
celną broń podnosząc do oka.
Kiedy wczoraj zajmowaliśmy to miasto w marszu,
gruchnęła wieść,

której każdy od lat wyglądał:

— Ałłanci uderzyli przez La Manche!
— Mamy wreszcie drugi front!

— Winszuję, Niechoda! —

Ten odklonił się uprzejmie: — Dziękuję, S.oma!
Kupcy poszli ratować banki faszystowskie.
Kapitalizm ich poprosił: — Na pomoc,
sowieckie czołgi nadchodzą, rany boskie!...
Komu my świat otworzymy,

ten z nami pójdzie.

Więc Churchill spocił się ze strachu,

biega w pasji:

pogania armie:

— Prędko, prędko, ratujcie

co się da

od wolności

i demokracji! —

Przechodzimy ulicą cudzoziemską.

Kwiecień

rozwija młode listki klonów.

Brzozy, otrzeźwione wiosną wczesną,
zastygają wzdłuż zdumionych domów.
Ciężka ludzka wokół nas się ścieśnia.
Zamieniwszy błysk oka z Niechodą barczystym
jakiś chłopak, mój cudzoziemski rówieśnik,
podniósł rękę i krzyknął:

— Śmierć faszystom!

— Niech żyje Stalin! — ulicę krzykiem pękły.

— Wolność! Wolność! Niech żyje Stalin! —

— Wyciągają się ku nam ręce, kwiatów pęki... —

— Widzisz — mówi Niechoda.

Ludzie w szale

wiwatują, podbiegają z lewa, z prawa.

Łzy radości dlań w przeliku.

— Słyszysz, Alosza, naszej ojczyźnie krzyczą: sława,

Stalinowi krzyczą: sława!

w obcym języku... —

— Śmierć faszystom! — echo wokół dzwoni.
W oknach tańczą barwne chorągwie pokoju,
cywilom oczy śmieją się do naszej broni,
idą za nami,

zachylając się wolnością swoją.

— Patrzcie, chłopcy, oto on — powiadam —
nie tamten, uplanowany przez kupców chciwych,
mający służyć nowym wojnom, szantażom, zdraodom —
oto on!

Drugi front,

ten prawdziwy!

Front pokoju! Front niezdobyty,

przewidywany innymi planami

n'ż knowania Wall-Streetu i City!

Front,

którego nikt nie przełamie.

Ten front dzieli

światło od mroku,

wolność

od faszystowskiej niewoli.

On oddziela

wojnę i pokój,

szczęście

od haniebnej niedoli.

Praca

przeciw kapitalowi.

Front, co dwie Ameryki rozdziela,

już i Anglię zwycięsko rozpolowił.

Już się wdarł na brzeg nieprzyjaciela! —

Przechodzimy ulicą cudzoziemską.

Kwiecień

rozwija młode listki klonów.

Brzozy, otrzeźwione wiosną wczesną,

zastygają wzdłuż zdumionych domów.

Przechodzimy

w radosnym wirze.

Ktoś przeciska się przez tłum:

— Chłopey! —

Wlece jakiegoś w kamizelce.

— Chodź bliżej!

Ten kupiec ukrywał esesowca...

— Sami załatwcie... — powiadam.

A kupczyk na to

schyla mi się do ucha, szepcze ponuro:

— Mam złoto. Będziecie mogli żyć bogato,

kupicie sobie od razu dziesięć garniturów...

Jak nie skoczysz na niego Sioma!

— Garniturów? Na, zobacz, patrzaj —

potrzasa mu pod nosem bluzą: — Wszystkim wiadomo,

że jestem w świecie, w całym świecie najbogatszy!

Widzisz ten kolor!

To jest kolor Rosji w lipcu,

kolor naszych mórz, kolor wiosennej pszenicy.

Wasze kule odskakują od tego, ledwie liżną;

w takim kolorze, jak ten, nie chodzi nikt za granicą!

A czapka?

Proszę, pan spojrzeć raczy! —

Sioma hełmem czołgisty nad głową kręci.

— Każdy faszysta, który mnie w tym zobaczy,

Wita mnie, podnosząc w górę obie ręce.

A bućki!

Wystawił nogę naprzód:

— Gdzie widziałeś takie w sprzedaży?

Tyle przeszły, a gotowe do wymarszu

i znów pójdą, niech tylko Stalin każe!

A to, według ciebie, tasiemki może?

Przyjrzyj no się! — Poklepał owijacze.

— Kiedy to się na gardziółko założy,

faszyzm wasz jak pęta zapłacze!

Nie było co!

Historia wspomni to ubranie.

Szczęśliwie jutro ludów na nim się złoci.

Nienajgorszy to ubiór i widać nie bardzo tani,

skoro

w takim właśnie

Zwycięstwo chodzi!

Zrozumiano, kupczyku? — pyta Sioma.

— Cóż chcesz? On za głupi, by zrozumieć słowa twoje!

— No, bogacze — idziemy! — bąkam.

— Towarzysze,

a wy pomóżcie mu to pojąć... —

Niechoda rzekł: — Nie po tośmy tu przyszli.

Złotem ludu

jest wolność.

Niezm się nie da

za nią zapłacić, nie droższego nad nią wymyślić.

Wolności

nie można kupić

ani sprzedać!

Nie przekupisz ich! — na ludzi wskazał.

— Przecież oni i tak wezmą sobie sami

ziemię, złoto, fabryki, żelazo...

Ci ludzie już nie będą niewolnikami!

Chciałś dla nowej wojny zbroja przechować,

żeby ludzie znów się przed tobą zaczęli kulić!

Chłopczy, prowadźcie go przed sąd ludowy!...

— Precz z faszyzmem! —

zagrzmiało wzdłuż ulic.

Przechodzimy ulicą.

Z brzękiem manierek.

szelcząc nóg tysiącami po bruku burym,

idą, idą wlewa, za szeregiem szeregi,

ludzie radzieccy w jasnozielonych mundurach.

Ilustrował Ignacy Wit

Dzień po dniu,

dzień po dniu,

trwamy jako!

Trwamy. Żyjemy. Nie zobaczą faszyci Wolgi!

Dzień po dniu

przeżywamy w grzmocie ataków.

I nie mogą nas wydusić żadne czołgi!

Noc, siódmego. Styczniowe mrozy.

Idę zmienić zziębniętego Siomę.

Kładę się u cekaemu, wytężam oczy.

Zimny wiatr pogwizduje w wyłomie.

... Kocham cię — szeptałem czerwieniejąc,
leczek malenki odsunawszy z ucha dziewczyny.
Księżyc się wznosi nad wodą, srebro sięjąc,
żeby dojrzeć,

jak się jesień rozpoczyna.

Klon nad ciemnym urwiskiem zawieszony

gubi liście, których już nie pozbić.

A wiatr błądnie, porywisty, szalony,

o sukienkę szeleszczącą się ołetera.

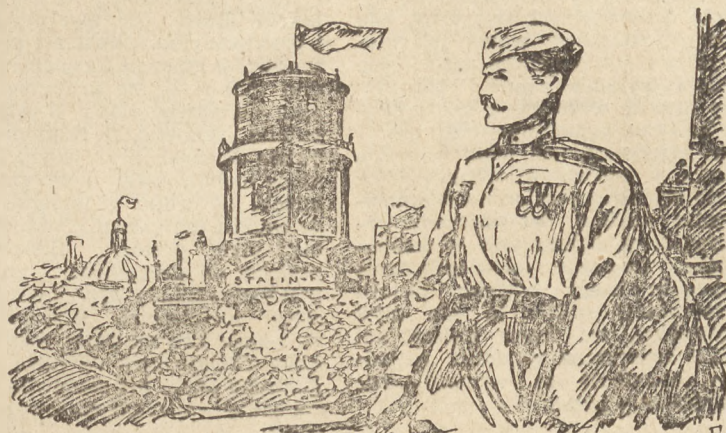
— Jak pięknie, spójrz, aż za słodko! —

Włecher przebiega z tupetem.

— Pomyśl, mogliśmy się nie spotkać! —

i zamierzam z trwogą,

myśląc o tym.



... Zrywają się strzały.

Wpatruję się w mrok z wysiłkiem.

— Stać!

— My swci!

— Wchodźcie, nie mitrzyćć...

Ilu was jest? Drużyna? Znaczą, posilki!

— Mamy ze sobą rozkaz...

brzmi on: zwyciężyć! —

Peleryną zasłoniwszy się od frontu

pstryknąłem zapalniczką. Płomyk zaskwierczał.

— Siódmego stycznia. Rozkaz trzysta czterdziesty piąty... —

Czytamy razem,

jak wtedy, w czterdziestym pierwszym.

— „Towarzysze...” —

To do nas mówi Stalin!

W dwudziestą piątą rocznicę nas pozdrawia!

„Wróg został zatrzymany...”

W tym domu

myśmy go zatrzymali!

Wroga zgnieść, to najważniejsza w życiu sprawa.

Rozumiecie, Stalin powiedział! Więc tak będzie!

To znaczy, że plan jest już gotów!

Stalingrad dla świata pokój zdobędzie!

Chłopey! Zbudźcie partorga Niechodę...

W listopadzie dnie wiatr porywisty.

W grudniu

palce się grzeje na automacie.

W styczniu...

— Uwolnimy cię od faszysty,

Stalingradzie nasz!...

— Chłopey, natarcie! —

Śnieg roztopiony błyszczący w lejach gorących.

Na jeździe trup faszystowski gesto się wali.

I nawołuje nas na Woldze lód trzaskający.

byśmy nie dali im żywym udrzcie wołańskiej fali!

— Oho! Styczeń! Roześmiane zawieje!

Wpatrujemy się w swoje wychudłe twarze,

jeden drugiego poznaje i tak się śmieje,

jak ktoś, kogo wreszcie ze szpitala wypuszczają lekarze.

Wysłano samochód w stronę stacji Kotłubań.

— Czwarta zero zero. Nie widać Niemców.

— Pewnie im przeznaczona gorsza zguba,

skoro się po ultimatum zjawiać nie chcą... —

Wleć po chwili znów artyleria orze.

Kamień nie trafia na kamień,

zab na zab trafić nie może,

do rękawów nie trafiają rękami.

I znowu parliśmy nawala ognową,

falą żywą, choć pokaleczoną,

aż z rękoma podniesionymi nad głową

sam von Paulus

wyczołgał się ze schronu,

aż, kulejąc, przesunął się wszyscy

gwałcielele pokoju, zbrodniarze,

już nie w szyku pysznym, lecz w rozszpee,

w dół zwiesiwszy poczerwiałe twarze.

A my z Sieriozą koło fabryki traktorów

przystanęliśmy,

gdzie Mieczotka płynie w ile,

by przed jutrem nowych marszów, dziś wieczorem

pokłon oddać niewielkiej mogile.

— Już nie spotkam ciebie, mamo.

Już cię nie ma.

Tego tylko nie przeczułem, jako dziecko,

że aż tutaj podejdzie obca ziemia-

by rozłączyć nas

bombą

niemiecką. —

Kłękam przed tą mogiłą malenką.

— Mamo, chcę ci to powiedzieć, nim odjadę:

pokolenie moje z bronią w ręku

do natarcia przeszło już

pod Stalingradem.

Mamo — szepczę, pochylając głowę —

nie splamimy cześć żołnierskiej swojej! —

Zegnaj, mamo!

Trzeba równać szyk bojowy.

Najpiękniejszą z dróg jest droga do pokoju.

Rozdział dziewiętnasty

DRUGI FRONT

My nie z map geografii się uczymy.

Pola bitew udzielać nam tej nauki.

Ojczyzna mego pokolenia

zamarza zimą,

— Poczekał, zaraz tu sanitariusz wstąpi.
— Gdzie Sierioża? — krzycze w leku strasliwym.
— Otwarte usta buchnął swąd pękającej bomby.

Dotykam czoła: — Owsmem, niegorsza rana!

— Otwieram drugi front —

oświadcza Niechoda.

— To ci obrazek! Popatrz, jaka przyjemna morda!

— To autoportret —

Sierioża mu odpowiada.

— Co chcesz, walczy żołnierz, pomaga! Moneta brząka,

— Mandluje, tu szwinia, tam świństwo.

— Prawda,

— Nawet podpis się zgadza: „Swinia duszonka”... —

Sierioża jakoś znalazł nas w tym zamecie.

— A potem tydzień przeleżałem w lazarecie.

— Skulony w załomie ruin, patrzę i czekam cierpliwie.

— Dwudziesty dziewiąty październik.

— Trącam Sieriożę w ramię:

— Zapomniałem, co to za data, może ty wiesz?

— To urodziny twoje! Echa, ty masz pamięć!

— Dwadzieścia cztery, prawie cała młodość człowieka!

— Dwadzieścia cztery.

Jesteśmy coraz starsi.

— Oto mija pół dwudziestego wieku.

— Wędrowka nasza trwa i trwa wciąż.

Pierwszy dzień urodzin —

— lśnią błyskawice,

— Dwudziesty czwarty —

— słychać wlewa kanonadę.

Pierwszy dzień —

— to zwycięski Carycyn,

— Dwudziesty czwarty —

— to bitwa pod Stalingradem.

— Tak! nasz los! — Chłopczy to samo poczuł.

— Dwadzieścia cztery, cztery płomienne lata!

— Dwadzieścia cztery lata dzwonią nam kule.

— Dwadzieścia cztery...

— Niechoda, idzie atak!

— Idą — powiada — chłopey, wstawajcie! —

— Przebiegamy ulicę skokami.

— Dwadzieścia cztery — huczy w każdym granacie.

— Dwadzieścia cztery — wygwizdują kule o kamień.

— Widzisz tamten klon wodą podmyty, pochylony?

— Pod ten klon chodźcie się oświadczać. —

— Sierioża spytał mnie: — Dawno to było?

— Dwadzieścia cztery minus osiem —

— szesnaście!

— Ale urodzin własnych zapomnieli, słowo daję!

— Krótko mówiąc, życzyć ci długich lat, daj łapę...

— Dwadzieścia cztery! — granaty mu przerywają,

— Dwadzieścia cztery! —

— po niebie rakietą chlapie.

Pluton rozsypał się szeroko. Stare wygi!

— No, jeszcze! No, skok! Alosza, idziemy! —

— Szepcze Sierioża.

— Mnie ciężar do ziemi przygiął.

— Nie było co, taka podstawa cekaemu.

— Na lewo z automatem pędzi Niechoda.

— Ura-a-a! — I pod dom

RADZIECKI PLAKAT POLITYCZNY W DOBIE POKOJU



W. Goworkow

Zwyciężymy posuchę



B. Prorokow

Faszyzm — wróg kultury



I. Ganf

Narody świata nie chcą powtórzenia wojny



B. Jefimow i N. Dołgorukow

Plakat satyryczny

W jednym z poprzednich numerów „Nowej Kultury” zamieściliśmy wybór plakatów radzieckich z okresu Wielkiej Rewolucji Październikowej, lat wojny domowej i obecnej interwencji. Poniższe reprodukcje są krótkim przeglądem prac artystów radzieckich z ostatnich lat, lat pokoju, są dokumentem pokojowej pracy ludzi radzieckich nad odbudową zniszczonego kraju i nad zbudowaniem podstaw komunizmu — wielkich budowli komunizmu.

Niemal każdy tytuł plakatu mówi o którymś z wielkich, zagadnień, którymi żyje Związek Radziecki: o wyborach — „Będę głosował na kandydatów bloku komunistów i bezpartyjnych”, o przekraczaniu planu — „Pięć lat w cztery lata”, o walce narodu radzieckiego o pokój — „Przekleństwo podżegaczom wojennym — Matki całego świata, walczcie o pokój”. W plakacie politycznym znajdujemy odbicie wszystkich ważniejszych wydarzeń, kampanii i walk; od chwili swego powstania, a więc od 34 lat towarzyszy on narodowi Związku Radzieckiego w pracy i walce, agitując, wychowując i ucząc. Niejednokrotnie pojawia się na plakatach postać Józefa Stalina, jak np. na plakacie pt. „Zwyciężymy posuchę”; postać wielkiego zwycięzcy spod Carycyna, Moskwy, Stalingradu, wielkiego geniusza strategicznego, pochylonego nad mapą stepów, które mają się zamienić w żyzną, urodzajną ziemię, jest dla człowieka radzieckiego symbolem przezwyciężania wszystkich trudności, symbolem zwycięstwa nad każdym przeciwnikiem.

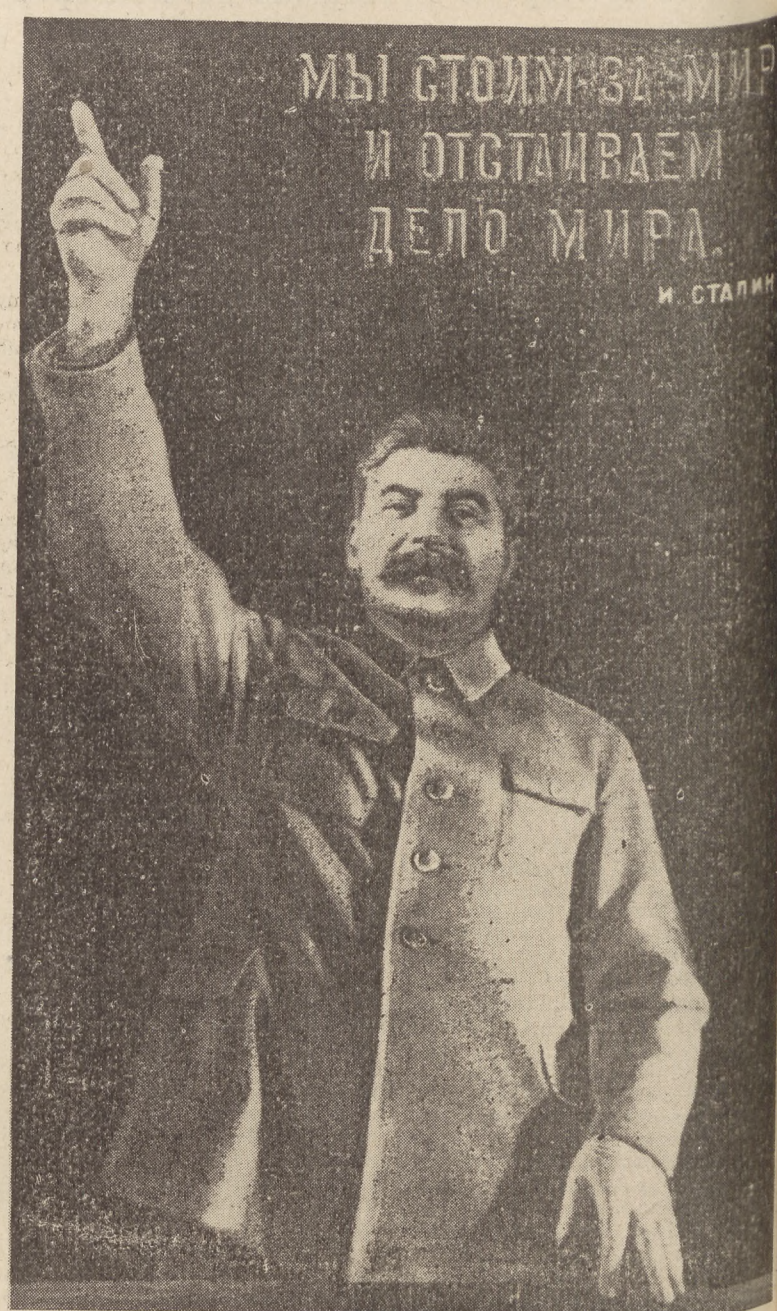
W ciągu ostatnich lat plakat radziecki przeszedł swoją artystyczną ewolucję, eliminując wszystkie elementy grafiki „użytkowej” i przezwyciężając schematyzm rysunkowy, zbliżył się do malarstwa, stwarzając specyficzną formę obrazu przeznaczonego do masowego powielenia i do zawieszenia na ulicy, w zakładzie pracy, w klubie robotniczym, w kolchozie. Do takiego pojmowania plakatu politycznego zbliża się również twórczość graficzna w krajach demokracji ludowej oraz wielu postępowych artystów w krajach kapitalistycznych (np. w Meksyku, gdzie Pracownia Grafiki Ludowej wypuszcza plakaty — wielkie drzeworyty). Rozwój słusznej koncepcji realistycznego plakatu politycznego był oczywiście uwarunkowany rozwojem techniki

drukarskiej, która umożliwiła drukowanie wielobarwnych kompozycji plakatowych na tak wysokim, jak obecnie, poziomie. Charakterystyczne jest komponowanie napisów w plakatach radzieckich, są one albo wyrzucane zupełnie poza obręb właściwego obrazu czy rysunku, lub komponowane tak, aby nie komplikowały i nie zaciemniały plakatu. Nie widać w plakacie radzieckim śladów pośpiechu, przypadkowości lub „puszczania” pracy, tak często spotykanych w naszych plakatach. Artysty radzieccy pracują nad plakatem niejednokrotnie jak nad obrazem sztalugowym, ale też instytucja zamawiająca pozostawia im na to dość czasu. Zamawianie prac „na wczoraj”, tzn. takich, które muszą być wykonane w ciągu jednej nocy lub dwóch dni, jest niewątpliwie jedną z najpoważniejszych bolączek naszej grafiki. Praca radzieckich artystów-plakacistów spotyka się z uznaniem ludzi i państwa radzieckiego na każdym kroku, najlepsze plakaty znajdują się i są wystawiane w Galerii Tretiakowskiej. Plakatorowi politycznemu przypisuje się jedno z czołowych miejsc w masowej agitacji poglądowej. W okresie przedwyborczym w roku 1950 wydawnictwo „Iskusstwo” wypuściło 40 plakatów o łącznym nakładzie 12 milionów egzemplarzy.

Słabą stroną plakatu radzieckiego jest jeszcze pewna schematyczność w ukazywaniu człowieka i niedostatek pomysłów, niekiedy powtarzających się, gdy wiadomo, że największą popularnością cieszyły się właśnie plakaty o ciekawych, niesztampowych pomysłach. Artysty radzieccy znają te słabe strony i starają się je przezwyciężyć. Jedną z takich prób jest tworzenie specjalnych zespołów tzw. temistów, czyli ludzi zajmujących się wyłącznie wyszukiwaniem nowych pomysłów na plakaty.

Zamieszczone poniżej plakaty są pracami najbardziej utalentowanych artystów, przeważnie przedstawicieli młodych kadr plastycznych, a więc W. Iwanowa, A. Kokoreckiego, W. Koreckiego, N. Denisowa, W. Prawdina, W. Goworkowa, i in. W dziedzinie plakatu satyrycznego, który reprezentowany jest w twórczości plakatowej bardzo silnie, pracują m. in.: B. Jefimow, N. Dołgorukow, B. Prorokow, I. Ganf. i in.

Jan Lenica



B. Berezowski i I. Szagin

„Jesteśmy za pokojem i bronimy dzieła pokoju” — J. Stalin



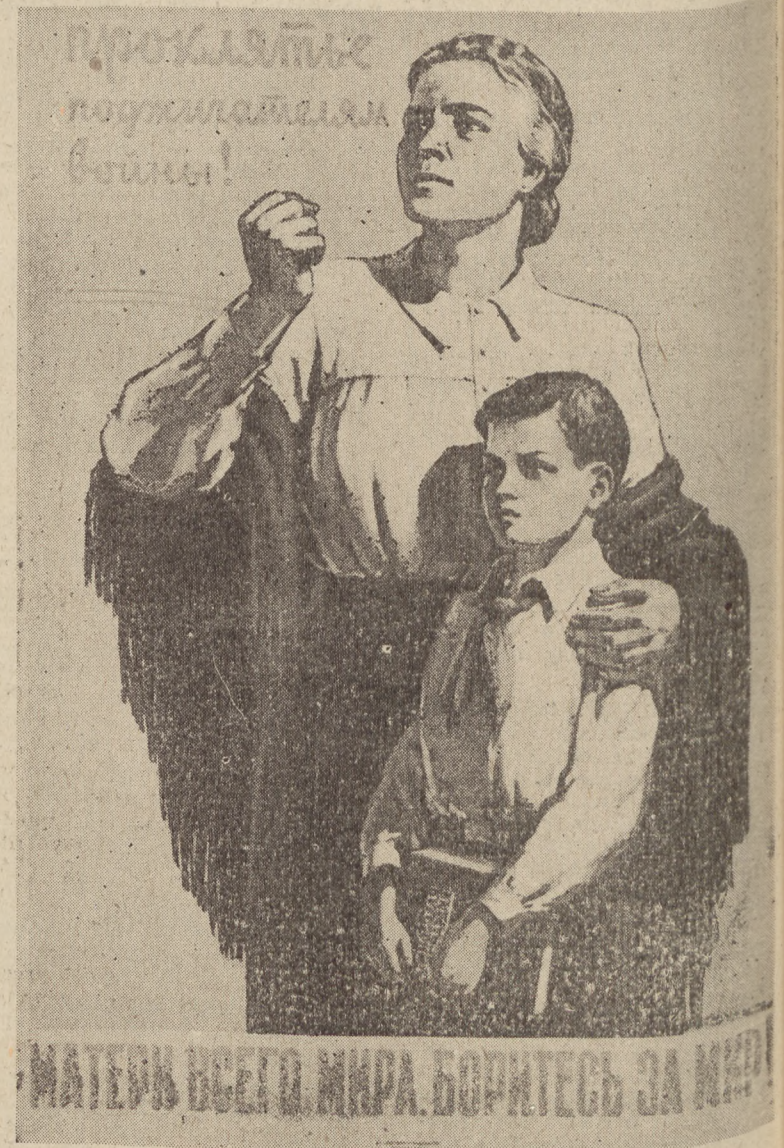
W. Iwanow

„Буржуазия jest wroga kulturze” — M. Gorki



W. Iwanow

Będę głosować na kandydatów bloku komunistów i bezpartyjnych



W. Iwanow

Przekleństwo podżegaczom wojennym

Redaguje Zespół.

Prenumerata i kolportaż: P.P.K. „Ruch” Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.—. Należność tam, gdzie prenumeratę wplacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16, powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa, Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel. 7-38-05. Rekopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Adres redakcji: Warszawa, ul. Wiejska 14, I pr. tel. 4-01-80, wewn. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji: W-wa, ul. Wiejska 12, tel. 4-01-80 do 90. Wydaje RSW „Prasa”. Zakłady Drukarskie i Wkłódnodrukowe RSW „Prasa” Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.